Ner 5. Kraków, 4go Lutego. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., następnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Ponieważ zachciało się komuś rozgadywać, że moje pismo *Niewiasta* łączy się z *Wieńcem*, pismem, które dopiero wychodzić zaczęło, i którego nikt sumienny dzisiaj ocenić sprawiedliwie nie zdoła: przeto oświadczam, że dla braku wszelkich słusznych powodów z Redakcyą *Wieńca* w żadne nie wszedłem stosunki.

Redaktor.

Wykład literatury Polskiej.

Wstęp.

W piśmiennictwie poznaje się naród; jego rozum, serce, fantazya, jego życie domowe, polityczne, składają tu o sobie świadectwo. Nawet życie historyczne narodu stoi w ścisłym związku z jego literaturą bądź jako powód, bądź jako skutek: wypadki historyczne albo tworzą literaturę lub pod jej wpływem powstają; związek tu konieczny, logiczny, jak między myśleniem i czuciem a działaniem.

W wykładzie więc niniejszym obok ocenienia dzieł ze stanowiska sztuki i umiejętności, będę się także starał wykazać łączność życia i literatury, i wzajemne ich oddziaływanie na siebie.

Życie narodu zestrzeliwa się niby w eliptycznych ogniskach w utworach gieniuszów, ludzi talentu, nauki, literatura więc powinna ogarniać to wszystko, co naród zdobył w dziedzinie ducha, a więc: poezyę, filozofię, historyę, nauki prawnicze, ekonomię, słownikarstwo, grammatykarstwo, nauki przyrodnicze i t. d. Gdy jednak słownikarstwo, grammatykarstwo jest więcej środkiem do oświaty, a umiejętności ścisłe mniej wszystkim dostępne osobnego wymagają ocenienia, więc w niniejszym szkicu tylko poezyę, historyę i filozofię z ich odcieniami mieć będziemy na uwadze, a o reszcie nawiasowo wspomniemy.

Nietrzeba nam jednakże zapominać, że obok literatury pisanej jest inna przechowująca się od lat wielu w żywem słowie ludu, i rodząca się coraz nowa z niego. Mówię tu o literaturze ludowej. Poczęta w przedchrześciańskich zamglonych wiekach, mało znana później szym, trwa, rozwija się na pierwiastkach rodzimych jak kwiaty dziko rosnące. Niedawno przyszła do uznania i skrzętnie zbierana obejmuje: pieśni, podania, klechdy i przysłowia, zaczem należy już do literatury w właściwem słowa znaczeniu. O niej więc także powiedzieć wypadnie w należnem miejscu.

Literatura nasza jak każda miała pewne epoki powstawania, kwitnienia, upadku, odrodzenia, stósownie do zasobu sił moralnych i duchowych i okoliczności sprzyjających lub tamujących jej rozwój. Ponieważ te epoki wybitne i oddzielne mając piętna, wyróżniły się w historyi, więc i my je rozróżniać będziemy, a mianowicie: [1]).

Okres pierwszy. (700—1000) obejmować będzie wieki przedchrześciańskie do ustalenia stosunków z Rzymem i zaprowadzenia biskupstw. (Obejmować będzie ogólny rzut oka na Słowiańszczyznę, zabytki piśmienne tejże i literaturę ludową).

Okres drugi. (1000—1521). Jest to okres w którym jeszcze nic jasnego nie zabłysło w literaturze naszej, a uczeni zajmowali się *kronikarstwem* i tłómaczeniem ksiąg nabożnych. (Będziemy tu mówili o drukarniach w Polsce, o szkołach i o kronikarstwie).

Okres trzeci. (1521—1621), nazwany wiekiem Złotym Zygmunta świeci takiemi znakomitościami jak Rej, Kochanowski, Klonowicz, Górnicki, Skarga, Stryjkowski, Birkowski, Paprocki itd. (Obejmować więc będzie rozbiór krytyczny tych pisarzy z krótkim poglądem na prozę, kaznodziejstwo i protestantyzm).

Okres czwarty. (1621—1750) zwany powszechnie wiekiem upadku literatury, świeci jeszcze małem zarzewiem w Twardowskim, Kochowskim, Potockim. (Wzmianka tu będzie o jezuityzmie i jego wpływie.

Okres piąty. (1750—1825). Wiek rozdwojenia się narodu na postępowych i konserwatywnych, który także wpłynął na kierunek literatury. (Tu będzie miejsce nadmienić o wpływach obcych narodów na Polskę we względzie literackim i socyalnym). A nakoniec:

Okres szósty. (1825—1860). Okres naszych czasów poczynający się z Brodzińskim a rozwinięty tak bogato przez Malczewskiego, Goszczyńskiego, Padurę, Zaleskiego, Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego, Czackiego, Ossolińskiego, Lelewela, Bielowskiego, Libelta, Szajnochę i innych współczesnych, których z kolei poznamy. (Ponieważ w tym okresie dopiero rozwinęła się u nas poezya, na pierwiastkach rodzimych, tu więc estetycznym rozbiorem wiele miejsca poświęcimy, z krótkim epilogiem o obecnym ruchu literackim [2]).

[1]) Podział ten wzięty z Wójcickiego Literatury.

[2]) W rozwoju każdego z tych wzmiankowanych okresów przejdziemy może nieraz granicę latami oznaczoną, bo duch epoki nie da się cyrklem odmierzyć i punktualnie oddzielić, ale spływa i łączy się z przeszłością i przyszłością. Oznaczone więc lata są przybliżoną, ale nie ostateczną granicą okresów.

W okresie pierwszym rozwijała się literatura nasza samodzielnie, i z tego co nam z tamtych czasów pozostało piękną rokowała przyszłość, ale upadek nauk na wschodzie Słowiańszczyzny, a wpływ kościoła rzymskiego na zachodzie przerwał tę nić tradycyi, a Polskę postawił katolicyzm na stopie europejskiej cywilizacyi, i namaścił na naród. Odtąd królową Polski Bogarodzica, a celem i zatrudnieniem jej rola i walka ustawiczna z pogaństwem. W tym czasie Polska stojąc biernie pod wpływem obcym, nierozwijała życia całemi siłami narodu, a suche kroniki i uczona akademia to jedyny objaw życia nie narodu całego, ale pewnej części jego. Był to (jeżeli porównania użyć się godzi), szary mrok przeddniowy, po którym nastąpiło śliczne zaranie w literaturze naszej. Świeżość, pełność życia i treściwość trzeźwa, oto obraz zygmuntowskiej epoki. Wiek siedemnasty przyćmił poranek chmurą; rzadko gdzie ślizga się promień większej myśli. Literatura klassyczno-francuska XVIII stulecia rozjaśniła tę ciemność, ale światło nie było nasze, było jak słońce zimowe, toteż mało w niem było ożywczego ciepła, i dopiero XIX wiek stworzył nam literaturę opartą na pierwiastkach rodzimych. Strącony ze sceny politycznej naród osnuł się w przędzę myśli i marzeń, i stworzył poezyę, filozofię. Poezya piękna, rozmaita, smutna, przeważnie liryczna, bo naród, co ją snuł z siebie przeżył wiele i przecierpiał wiele.

(C. d. n.)

DOMNA ROZANDA,

Opowiadanie historyczne;

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

(Ciąg dalszy).

V. Zakład turecki.

Pozostały wiadomości o dwukrotnem pobycie Rozandy w Konstantynopolu. Raz bawiła ona tam wkrótce po weselu starszej siostry z książęciem Radziwiłłem, zastępując zapewne też siostrę w zakładowem ubezpieczeniu dywanu o wierności ojca Lupuła. Nim bowiem hospodar dłuższemi rządami Wołoszczyzny potrafił wzbudzić zaufanie w wezyrach dywanu cesarskiego, musiały upewnić ich w tej mierze oddane w zakład córki, najpierwej starsza Helena, następnie młodsza Rozanda. Gdy atoli w niejakim czasie wzmocnił się wpływ hospodara, ustała potrzeba dłuższego zakładu Rozandy w Carogrodzie, i już we trzy do czterech lat później widzimy ją wróconą rodzicom w Jasach. Dopiero następstwa owych nieszczęsnych swatów kozackich zachwiały znowu powagę Lupuła nad Bosforem, i po raz drugi w niewolę zakładową wtrąciły córkę.

Były to zaiste zwady nieszczęsne. Oprócz spustoszenia Wołoszy nabawiły one hospodara ciężkich jeszcze niebezpieczeństw w dywanie. Dowiedziano się tam natychmiast o napadzie Kozaków na Wołoszczyznę, i o schronieniu się hospodara w zasieki leśne. Rozeszła się owszem pogłoska, iż Lupul całkowicie zniesiony już od Kozaków, zkąd nowego krajowi hospodara potrzeba. Czekało na to w Stambule tak wielu zawsze ambitnych, iż urosła z nich osobna klasa natrętnych dywanowi sollicytantów, od swojej ambicyi hospodarskiej „hospodarczykami“ powszechnie zwanych.

Owóż kiedy nadeszła do Stambułu wiadomość o zniesieniu Lupuła przez Chmielnickiego, rzuciło się kilku takich hospodarczyków do usilnych zabiegów w dywanie o Wołoszczyznę. Na szczęście dla Lupuła trwała podobna walka współubiegaczów dość długo, i nim jeszcze sułtan komukolwiek przeznaczył hospodarstwo, powiodło się ojcu Rozandy oddalić z kraju najeźdzców. Ale sam Lupuł nie był dość pewnym swego bezpieczeństwa w Stambule, a powiększająca każdą obawę wieść głosiła już bliski najazd jakiegoś obdarzonego Wołoszczyzną rywala.

Na wszelki wypadek było stanowisko hospodara niezmiernie zagrożonem, i wymagało tem większej gotowości do wszelkich ofiar dla utrzymania się przy Wołoszy, ile że od czasu niefortunnych swatów kozackich cały stosunek Lupuła do Porty w bardzo niekorzystny zmienił się sposób. Już samo nieprzyjęcie pierwszej prośby o rękę Domny przywiodło Chmielnickiego do wzbudzenia w dywanie ciężkich przeciw Lupułowi podejrzeń o przyjaźń z Polską, od których Chmielnicki, po teraźniejszej zgodzie z hospodarem, nie myślał bynajmniej odwodzić Turków. Była to bowiem zgoda nieszczera, tylko pogodnej chwili do zerwania stosunków oczekująca. O czem dokładnie wiedząc, starał się Bohdan ciągłemi intrygami zachwiać Lupuła w Carogrodzie, aby, w razie niedotrzymania ugody o Rozandę, tem łatwiej przemocą dopiąć zamiaru w Jasach.

Od podwójnego więc wroga, od podstępów Bohdana i zamachów hospodarczyków, wypadło teraz bronić się Lupułowi. W tak gorącem niebezpieczeństwie jedyną drogą ratunku otwierała się hospodarom wołoskim Polska. Do tejże przyjaznej sobie oddawna Polski uciekł się Lupuł o radę, o wsparcie, o przytułek w razie najcięższym. Główną obecnej chwili potrzebą była zbrojna pomoc przeciw spodziewanemu najazdowi od Carogrodu, o którą usilne do Polski wyszły żądania. Zażądane podobnież zostało nadanie hospodarowi indygienatu czyli prawa obywatelstwa polskiego, i przyjęcie rodziny hospodarskiej w gościnę na ziemi polskiej. Upraszał wreście hospodar o radę względem postąpienia nadal z Chmielnickim, któremu Lupuł mimo zaręczyny chętnie wzbroniłby córki, gdyby tylko wesprzeć go w tem chcieli Polacy.

Okoliczności znacznie ułatwiły Polsce spełnienie życzeń Lupuła. Rzecz najtrudniejsza, pomoc zbrojna przeciw hospodarczykom, stała się wnet niepotrzebną. Obronił się od nich sam Lupuł szybkiem do Stambułu poselstwem z darami i oznajmieniem, iż żyje i panuje cało na Wołoszczyźnie, gotów służyć nadal wysokim progom Porty. Upadły więc tym razem zabiegi współzawodników, a dawnemu hospodarowi „ziemi Bohdanu“ nadesłana została od sułtana szabla z kaftanem, w znak tymczasowego zatwierdzenia na księstwie.

Jednocześnie doszło go z Polski zapewnienie przyjaznego hetmana Potockiego, iż teraźniejszemu królowi polskiemu Janowi Kazimierzowi wielce na tem zależeć będzie, aby małżeństwo Tymoszka z hospodarówną nie wzięło skutku. Ku tem ściślejszemu przywiązaniu hospodara Koronie polskiej obdarzył go król Jan Kazimierz żądanym przywilejem indygienatu, który jeszcze w tym samym roku 1650 ułożony dlań został w wyrazach bardzo pochlebnych. Przyznano Lupułowi publicznie w tym dokumencie, iż wielorako zasłużony narodowi polskiemu, „odwracał często zagony barbarzyńskie od granic polskich, iż mnogiej szlachcie polskiej wolność u Tatarów odzyskał, i samym nawet wykupionym niedawno hetmanom polskim najskuteczniej do oswobodzenia dopomógł.“

Za któreto przysługi wzajemnie teraz ubezpieczenia szukając w Polsce, umyślił Lupuł powierzyć jej do pewnego czasu rodzinę swoją. W kilka tygodni po napadzie Kozaków z Tatarstwem na Wołoszczyznę, zapewne jeszcze przed uciszeniem się pogłosek o najeździe któregoś z hospodarczyków stambulskich, opuściła małżonka Lupułowa z córką Rozandą, z resztą dzieci, z główniemi skarbami domu swojego, coraz mniej bezpieczną ziemię wołoską, i zjechała na mieszkanie do Polski. Przyjął ją w gościnę książęcy dwór jej starszej córki Radziwiłłowej, godny ze wszech miar przytułek tak zacnych gości. Miał tam nadciągnąć niebawem za rodziną sam książę Bazyli Lupuł, i już nawet według doniesień tamtoczesnych stanął był z ostatkiem skarbów swoich w pobliżu granic polskich. Nadejście jednak pomyślniejszych nowin z Stambułu wróciło go jeszcze do Jas, samą tylko rodzinę za granicą pozostawiając.

Znalazła się więc Rozanda niespodziewanie rychło na ziemi polskiej. Znalazła się w niej — jak powszechnie mniemano — jedynie na to, aby jej nigdy już nie opuszczać. Sam bowiem ojciec hospodar wyraźnie oświadczył się Polakom, iż jedynie o tyle dotrzyma ugody Chmielnickiemu, o ile zmuszonym będzie do tego. Polacy zaś ze swojej strony pragnęli jak najgoręcej, aby do przymusu takiego nigdy nie przyszło — aby Rozanda koniecznie jednemu z polskich dostała się współzawodników.

Zbieg pomyślnych okoliczności poszczęścił w tej mierze najwięcej młodemu Potockiemu. Był on jak wiemy powinowatym książęcia Janusza Radziwiłła, który przeto wspierał go usilnie u bawiących w swoim domu księżn wołoskich. Mając nadto ojca hetmanem wielkim koronnym, przewyższał młody starosta kamieniecki rywalów swoich jeśli nie przewagą skłonności u Rozandy, tedy przewagą względów politycznych u ojca, ceniącego sobie zarówno rycerską pomoc hetmana w razie potrzeby, jak jego potężny głos senatorski w radzie królewskiej. Zaczem, mimo chwilowe przechylenie się uczuć hospodarówny ku junackiemu książęciu Dymitrowi Wiśniowieckiemu, zgodziła się rodzina Lupułowa ostatecznie na zaślubienie córki z synem w. hetmana koronnego. Młody starosta kamieniecki Piotr Potocki zasłynął we wszystkich ustnych i drukowanych nowinach tamtoczesnych jako niechybny zięć hospodarski. Podróż Rozandy z matką na dwór Radziwiłłowski w Litwie była według domysłów ciekawości ówczesnej jedynie na to podjętą, aby w domu siostry i szwagra zaręczyć potajemnie Domnę z Potockim. Tamże miało odbyć się także również tajne wesele.

Nie trudno pojąć zniewagę Chmielnickiego na odgłos takich wieści w Czehrynie. Myśl poswatania syna z hospodarówną stała mu się od tej chwili postanowieniem jakiegoś szalonego uporu, któremu gotów był wszystko poświęcić. Choćby miał wojować oto z całą Polską i Litwą, musiał dopiąć dziko umiłowanego zamiaru, który ziszczeniem swojem wróżył mu również fortunny skutek zamysłów dalszych. Jakoż wszelkiemi drogami dążąc do celu, zbroił się Chmielnicki od razu do wojny o Rozandę z hospodarem i Polską, a jednocześnie godził w Lupuła tam, zkąd mu zawsze największe groziło niebezpieczeństwo, tj. w dywanie. Do dawnych doniesień Bohdanowych o spiskach Lupuła z Polakami przybywały obecnie raz po raz nowe, o tyle groźniejsze od poprzednich, o ile teraz w Stambule górowała powaga Chmielnickiego a podupadła dawna wziętość Bazylego Lupuła.

Bądźto w istocie gwoli ułatwienia sobie posięścia Domny i Wołoszczyzny, bądź z innych przyczyn, stanęły teraz związki Chmielnickiego z islamem w swoim najjaskrawszym zenicie. Temi właśnie czasami przyjęty został Bohdan w Carogrodzie przez trzech możnych muzułmanów za syna, i słynął odtąd u Turków za prawego wyznawcę wiary proroka. Pod tęż samą porę przyjął on w swoim Czehrynie szumny tytuł stróża Porty Ottomańskiej, *tak przeciwny pierwotnemu posłannictwu ciągłego wojowania Kozaczyzny z pogaństwem.* Za co odwdzięczając się Chmielnickiemu podzielał dywan tem pełniejszą miarą jego teraźniejszy rankor ku Lupułowi, im jawniej hospodar tylu świeżemi związkami z koroną polską, mianowicie wysłaniem rodziny na mieszkanie do Litwy, ubliżał teraz przysięgom wierności względem Porty.

Ale mądrość polityki sułtańskiej kierowała się właściwemi sobie prawami. Mając przed sobą dwie sporne strony, umiał sułtan zawsze rozsądzić je takim wyrokiem, któryby żadnej stronie nie przynosił korzyści. Stronom należało pocieszać się swoją szkodą wzajemną, korzyść przypadała samemuż najwyższemu sędziemu, samemuż padyszachowi. Taką też zasadą sprawiedliwości powodował się sułtan w obecnem rozsądzeniu waśni między hetmanem zaporozkim Chmielnickim a podejrzanym hospodarem ziemi Bohdanu.

Głównym przedmiotem sporu była hospodarska córa Rozanda. Hetman zaporozki domagał się jej dla swego syna Tymoszka, hospodar w swojej występnej skłonności ku narodowi polskiemu przeznaczał ją Polakowi. Owoż sułtan po należytem rozważeniu rzeczy zawyrokował, aby Rozanda nie szła ani za Kozaka ani za Lacha, ale odstawioną została do Stambułu, w zakład ściślejszej odtąd wierności swojego ojca. Wyprawiono natychmiast rozkaz tej treści hospodarowi, który zanadto znał surowość Porty w podobnych okolicznościach, aby śmiał był odmawiać posłuszeństwa woli cesarskiej.

Musiała zatem rodzina hospodarska opuścić Polskę. Możni zalotnicy koronni nie zdołali zatrzymać tam Rozandy wbrew sułtanowi. Pozostała im jedynie nadzieja dalszych o nią zabiegów w Carogrodzie u przedajnych urzędników dywanu, od których nadal zależeć miała ręka i przyszłość Domny. Ponieważ Porta nie oświadczyła się stanowczo za małżeństwem Tymoszka z hospodarówną, przeto zdawało się wszystkim przeciwnikom kozackim, iż dywan nigdy zgodzić się na to nie zechce. Zaczęły owszem wyraźne krążyć powieści, jakby sułtan zabronił hospodarowi oddać córkę młodemu Chmielnickiemu — czem wyjaśniły się znowu widoki zalotników koronnych.

Tymczasem biedna Rozanda opuściła z westchnieniem Polskę, pożegnała z rozdartem sercem rodziców w Jasach, i dwójnasób teraz ze wszystkich pociech życia osierocona, stanęła w progach swego zakładowego więzienia w Carogrodzie. Czekał ją tam los tem smutniejszy, iż prawie całkiem nieznany ludziom, umyślnie jak najstaranniej zasłoną tajemnicy okryty. Ilekroć bowiem na który z domów książęcych pod panowaniem tureckim spadła podobna niewola oddania córki w zakład cesarski, starano się zawsze utaić ile możności ten przymus, z którym zwyczajnie najsromotniejsze wiązały się podejrzenia. Ztąd i pobyt Rozandy za kratą serajową miał pozostać sekretem dalszemu światu, i przynajmniej do pewnego stopnia potrafił rzeczywiście odwrócić od siebie uwagę ludzką.

Niewiadomo tedy z pewnością, ani jak długo trwało to więzienie zakładowe Rozandy, ani jakie przygody wypadło przebyć w niem biednej Domnie. Zachowały się tylko wieści potwarcze, przypominane księżniczce później przez nieprzyjaciół, jakoby, chcąc tem prędzej odzyskać wolność, okupiła ją Rozanda ofiarą sławy swojej. W rocznikach zaś tureckich napotykamy ciemną

wiadomość, iż pewien agent hospodara Lupuła sprzedał Rozandę w Konstantynopolu za 20,000 piastrów jakiemuś magnatowi polskiemu czy węgierskiemu, do poślubienia jej następnie w domu rodziców. Gdy jednak zaręczona w ten sposób Rozanda wracała z narzeczonym na Wołoszczyznę, napadli na nich w drodze Kozacy, i uprowadzili hospodarównę swojemu młodemu hetmanowi w małżeństwo.

Jedynie ta ostatnia okoliczność jest prawdziwą. Zaledwie Rozanda po szczęśliwem uwolnieniu z zakładu ujrzała się znowu w gronie rodzinnem, zgłosił się w istocie z przemocą dawny oblubieniec kozacki, syn Bohdana Chmielnickiego Tymoszek, aby na podstawie zawartych przed dwoma laty umów pojąć zaprzysiężoną sobie córkę Lupuła. Odbyła się ta weselna wyprawa Tymoszkowa z takim po wszystkich okolicznych stronach rozgłosem, musiała przez takie szerokie strugi własnej i cudzej krwi brodzić po wieniec, iż słuszna o niej wzmianka osobna.

(C. d. n.)

W JASSYRZE.

(Poemat historyczny),

Jana Kantego Turskiego.

(Ciąg dalszy).

IX.

Aga, najwyższy władzca Jedykuły
Był jak żółć słodki — a jak marmur czuły;
Lecz szczęściem będąc wywyższon nad tłumem,
Był między niemi najniższy rozumem.
On jeńcom codzień po astrze wypłacał,
I przez to, jakimś cudem się zbogacał,
Dla utrzymania agowskiej powagi,
Do astra często przydawał i plagi,
A że o sławę tyrana się kusił,
Wesół był wtedy, gdy jeńca zadusił.
Dla serca jego najmilsze piosenki:
To konających z uduszenia jęki,
Nawet od złota milsze mu te dźwięki...
I z taką wiarą tę rozkosz polubił,
Że się przed światem nią szczycił i chlubił.
Dostawszy jeńca, lub go udusiwszy,
Był i weselszy zaraz i szczęśliwszy —
O! wiele szczęścia miał ten wielki aga,
Gdy jego władzy szatańska powaga
W sąsiedniej sali hetmańskiej siedziby
Książęce zrzucić rozkazała dyby.
Był to znak śmierci w niewoli tureckiej,
Którą zgasł książę Samuel Korecki.
Echo boleści strasznej — uduszenia
Przez ścianę w serce hetmana wpadało —
Krwawiąc to serce już pełne cierpienia
Okropną śmiercią księcia — agi chwałą.
Aga był wesół w tym dniu i szczęśliwy —
A serca śmierci sąsiadów zajękły.
Biedny ty jeńcze, dzisiaj — jeszcześ żywy,
Jutro cię zdusi aga nieulękły.
Lecz nie! — ty ciesz się nieszczęsny hetmanie,
Szczęście, choć wątłe, do ciebie się śmieje —
Aga dziś rzuci między was pytanie,
Ty je rozwiążesz — możesz mieć nadzieję,
Że ci łaskawy pan ulży twej kary,
Hetmanie! ciesz się, i nie trać odwagi,
Zaszczyt cię spotka — u wielkiego agi,
Będziesz zepsute naprawiał zegary!
Dobra i chwila wolności skradziona
Po dwugodzinnej przechadzce na bani —
Ciesz się — bo twoja pani ucieszona,
A wiesz jak piękna nowa twoja pani...
Może ci wtedy ta piękna, ta smętna
Już tak nie będzie jak dziś obojętna?
Jako dziś, kiedy i od lodu chłodniej
Twarz twoją bladą odwróciłeś od niej...
Ciesz się: wszedł aga — „Kto tu między wami
„Umie zepsute naprawiać zegary?“
Hetman rzekł: „Uczył mnie mój sługa stary;
„Umiem.“ Więc aga: „Umiesz! chodź za nami.“
I poszedł. Potem tak co ranek chodził
I kradł wolności chwile upragnione —
I pracą długie dni niewoli słodził—
Długie okropnie i niepoliczone.
Umyślnie czasem popsuł, co naprawił,
Aby o jeden dzień dłużej się bawił.

X.

Koran i litość przepisuje wiernym;
I Turczyn umie bywać miłosiernym.
Piękne Turkinie, wdzięczność Alle dłużne,
Zwiedzając więźnie rozdają jałmużnę.
Zwyczaj uczucie w sercach ich wyrobił,
I miłosierdziem, już piękne, ozdobił.
Więc nawiedzają jeńcow w Jedykule,
Na ich męczarnie spoglądając czule,
Pewne, że wzrok ich, albo kiesy złote
Osłodzą biednym niewoli tęsknotę.
I aga taki dzień więźniom umila,
Pobożny, do słów Ałły się przychyla —
„Miej litość z biednym, choćby giaur był sprośny,
„I ja dla ciebie będę też litośny.“
Aga lituje się — pubary z winem
Nieszczęsnym jeńcom w taki dzień przeznacza,
Więc kto wypije, to chociaż rozpacza,
Rozpaczą przyjaźń zawiąże z Turczynem.
W dzień taki aga, strojny uroczyście,
Zbiera dla siebie niemałe korzyście,
Bo, gdy wezyra litościwe siostry
Nawiedzą więźniów jego w Jedykule,

To proszą agę, by nie był tak ostry,
Żeby z więźniami obchodził się czule,
A na pamiątkę każda taka cnota
Zostawia adze: uśmiech i garść złota.
Z uśmiechów takich on uszczęśliwiony,
Z litości serc ich zbiera piękne plony.
Cieszcie się jeńce! dzisiaj wielkie święto,
Piękna Fatima zwiedza wasze sale,
Aga się krząta, by godnie przyjęto
Taką pokorną w takiej wielkiej chwale.
Jeńców to wraże spółczucie nie cieszy.
Nikt przyjąć gościa z radością nie spieszy.

XI.

Piękne się kwiaty tam na wschodzie rodzą,
Pod skwarnem słońcem — pięknie, bujnie wschodzą,
I wdzięk ich oko i serce roznęci,
I silniej ujmie, niż kwiaty pamięci.
Woń ich upaja szaloną rozkoszą,
One na duszy sny marzenia płoszą,
I wiodąc z sobą w nieznane wprzód światy,
Taką cię z sobą namiętnością zwiążą,
Iż w samo piekło za tobą podążą,
A wschód dziewice ma takie, jak kwiaty...
I takim kwiatem urosłym na wschodzie
Była Fatima — istny kwiat gorąca,
A wielki wezyr miał ją w swoim rodzie,
Była mu siostrą ta róża kwitnąca.
Nie jeden Turczyn już przez nią oszalał,
Lecz nikt z rozpaczy przez nią nie ocalał.
Świeża jak róża w sułtańskim ogrodzie,
Której wiatr zimny listków nie poruszy,
Zeszła na wschodzie — kwitnąca na wschodzie,
Wschodu gorącem skrzą władze jej duszy —
Za każdem słowem — za każdym oddechem
Jej pierś wonieje rozkoszy balsamem,
Oczu wejrzeniem i ustek uśmiechem,
To — w nią patrzących stawia w niebie samem.
A taka jasność bije od jej oczu,
Że duszę zda się spalisz w jej gorącu,
I w cudnych źrenic jej płoniesz przeźroczu
Jak gdybyś utkwił oczy twoje w słońcu.
A jeśli szczęście słówko z ust jej skradnie,
To ono w serce tak głęboko wpadnie,
Że w niem na wieki osiędzie ci na dnie,
I niem twe serce całe tak rozmięknie,
Że bić ustanie — lecz nigdy nie pęknie...
I próżnobyś się je przytłumić starał,
Ono ci będzie stwarzać świat zapału,
I wśród rozpaczy, namiętny ze szału
Powiesz, że Bóg cię miłością ukarał.
Piękności takiej niezbadana władza,
Okropnie zwodzi i okropnie zdradza.
Zda się, że miłość, którą w tobie rodzi
I na jej sercu razem z twoją wschodzi;
A gdy doświadczyć zechcesz twych omamień,
Poznasz, że sercem — nie serce — lecz kamień.
Głaz z dyamentu jakżeż świeci cudnie,
A przecież blaskiem oszukuje złudnie,
Blask ten bez życia, bez serca, bez duszy —
Kochasz go wściekłą namiętnością blasku,
A on — jak w złotych ramach na obrazku
Piękność, lub jako kamień się nie wzruszy.
A miłość twoja kochała w nim złoto...
I taka miłość nie zowie się cnotą.
Ona wzruszyła serca twego tętna,
Bo była ziemska — płomienna — namiętna —
Taką miłością kochają na wschodzie,
Ale nie wszyscy... tak kocha ich wielu,
I taka miłość panuje w narodzie...
Choć są... co lepszą znając drogę celu,
Po niej do szczęścia prawdziwego dążą,
I z cnotą sercem i duszą się wiążą.

(C. d. n.)

Dwie Siostry,

(Obrazek z pod Tatrów).

(Dokończenie).

V.

Parę tygodni już minęło od czasu jak Kuba opuścił wioskę. W wiosce szło po staremu. Dziewczyny pracowały jak dawniej i dusze dziewcząt były jak dawniej, jedna głęboko cicha, spokojna; druga wesoła, jasna, gwarna. Kto widział zielone głębie Dunajca, i kryształowe karby jego, gdy płytkiem korytem płynie po kamykach, ten zrozumie to porównanie; ten wyczyta los tych dziewcząt w głębinach ich własnych dusz.

Mógłbym powiastkę tę uczynić rozmaitą, zajmującą, rozległą, rzucając co chwila nowe przypadki, których tak pełne życie ludzkie; ale powieść nie jest fotografią życia, nie jest opium upajające człowieka marzeniami bez celu, więc nie dziwcie się, że nie katastrofy, przypadki, ale dusze ludzkie snują w waszych oczach przędzę powieściową.

Była niedziela. Tereska po nieszporach wstąpiła do matki Kuby. Starowina rozpogodziła się na widok dziewczyny. Jej tak smutno było w chacie, samej, niezdrowej; ona z taką radością witała twarz każdego człowieka, co ją przychodził nawiedzić. Rozmawiały długo o Kubie, o Stachu; stara narzekała na swoje osamotnienie, pytała o Hankę, i ani się spodziewały jak ich mrok zaszedł.

— No! bywajcie zdrowi matko — rzekła Tereska całując staruchę i otulając się chustką.

— Już idziesz moja gołąbeczko, oj smutno mi tu starej bez ludzi.

Tereska pomyślała chwilkę, rozweseliła twarz jakąś myślą.

— Wiecie co matko, nasza chatka długo nie postoi, my tu sprowadzimy się do ciebie, to nam wszystkim będzie weselej.

— A niech ci Pan Bóg zapłaci za to słowo — rzekła ucieszona stara i poczęła namawiać Tereskę.

Tereska wesoła tą myślą poleciała do siostry.

Hanka wychodziła właśnie z chaty.

— Gdzie ty idziesz? — spytała Tereska.

— Do karczmy, bo grają.

— Zostań siostro — prosiła Tereska — ta nie zginiesz choć jedną niedzielę posiedzisz ze mną i pogadasz, a mam ci coś wesołego powiedzieć; wracam od Swetyny.

Hanka wróciła ciekawa.

— No cóż powiesz? może Stach wrócił?

— Ej nie wrócił, ale uradziłyśmy ze starą, że się przeniesiemy do niej.

— A to się przenoś zdrowa, mnie tam nie pilno. Stara chora a zrzędna, toby mię na śmierć zanudziła.

Zafrasowała się Tereska odpowiedzią siostry.

— Hanko, Hanko, że też ty zawsze i wszędzie bawić byś się rada. Ta to grzech tak myśleć wciąż o sobie.

— A tobie co do tego? — ofuknęła ją Hanka — bawię się bom młoda, bo mi pora. Jak postarzeję i zęby stracę, to siędę z koronką pod kościołem; ale teraz mi się niechce.

— A Stach? on się będzie gniewał jak się dowie.

— Stach? a kto jemu broni się bawić. Licho go wie za kim on ugania się po polanach. Jaka ty głupia wierzyć temu, że on tylko mnie ma na myśli.

— Ej Hanko zostań, zostań — prosiła jeszcze Tereska — ja coś niespokojna o ciebie. Patrzno! jakie chmury idą od Giwontu. Będzie burza zostań lepiej w domu.

Hanka spojrzała w niebo.

— Prawda chmurzy się, trzeba mi przed deszczem dolecieć do karczmy.

Odwróciła się i pobiegła drogą.

Tereska weszła do izby, zaniecila łuczywo i siadła. Tęsknie patrzalo dziewczyniątko po czarnych ścianach izdebki, którą opuścić miała. Dumała o matce, przypominała sobie, jak nieraz o takiej porze pieściła się z nią i słuchała ciekawie powiastek o mnichu, o skarbach zaklętych. A w polu tymczasem wrzała z całą mocą burza. Ulewa była wielka, wezbrany Dunajec szumiał, od czasu do czasu błyski oświecały chatę i pioruny bily o twarde tatrzańskie skały, roztrącając się echem po wąwozach. Dziewczę za każdym łyskiem żegnało się i trwożne patrzało na Tatry, co wśród ciągłych połysków stały jak w ogniu na czarnem tle nieba.

W tem ktoś zapukał do izby.

— Kto tam? — rzekła Tereska i szła otworzyć spodziewając się Hanki,

We drzwiach zobaczyła Stacha. Przemokły do nitki wszedł do izby ze strzelbą w ręku. Zrzucił z siebie guńkę ciekącą deszczem, otrząsnął z wody kapelusz i usiadł.

— Witaj Teresko! naniec no ogień na kominie, bom przeziąbł po nocy i deszczu.

Dziewczyna rozpaliła ogień i góral siadł przy ogniu. Twarz Stacha była rozpromieniona, wesoła; ubiór bogatszy niż zwykle.

— A gdzie Hanka?

Tereska zmięszała się i niewiedziała co odpowiedzieć.

— Poszła do organiściny po szycie, i pewnie ją deszcz zatrzymał we wsi.

— To zaczekam na nią. A Kuba?

— Kuba poszedł w doliny na zarobek — rzekła dziewczyna i posmutniała bardzo.

— Dawno?

— Jutro drugi tydzień minie.

— Oj! bieda też że go niema, niezobaczymy się tak prędko.

— A to czemu?

— Bo mnie trzeba iść od was daleko. Z bacą-śmy się poswarzyli, przyszło do bitki i rzuciłem szałas. Teraz ja gajowym na węgierskiej stronie; więc przyszedłem zabrać Hankę do siebie, i po weselisku pożegnać się z wami.

Teraz dopiero poznała Tereska, że ubiór Stacha był dostatni, wytworny i ozdobny, czego przedtem nigdy nie było, bo dawniej obdartą guńką Stacha wiatry tatrzańskie wesoło się bawiły.

— To ty przyszedł do szczęścia Stachu?

— A Hanka ze mną — dokończył Stach.

Tereska znowu się zaniepokoiła na wspomnienie siostry i spojrzała ku drzwiom.

Po chwili zagadał ją znowu Stach.

— Coś Hanki niewidać, choć deszcz ustał.

— Zaczekaj pójdę po nią.

— Nie, nie, zostań, ja pójdę ku kościołowi, to ją spotkam może.

— Ale nie spotkasz, niespotkasz, zaczekaj tu, ja sama polecę, ty zmęczony.

Góral podejrzliwie, badawczo, spojrzał na Tereskę, że aż oczy spuścić musiała. On ją wziął za rękę.

— Słuchaj Teresko! powiedz mi, czy Hanka nie pustuje jak dawniej? Gdzie ona poszła? jeno powiedz prawdę, jeśli ci ja choć trochę miły.

Tereska niewiedziała co odpowiedzieć.

— Ona w karczmie, prawda? — zawołał góral i porwał guńkę i strzelbę i wyleciał z izby.

— Ona cię kocha Stachu! — krzyknęła za nim dziewczyna; ale Stach już był daleko. Leciał, w uszach miał szum dziwny, w piersiach zawieruchę. Ale koło młyna opamiętał się, stanął i spytał siebie:

— I po co ja lecę? Choćbym ją i zabił to nieprzeinaczę jej serca. — I przypomniał sobie jak niedawno w tem miejscu ona mu przysięgała być wierną i niepustować. — Więc po co mi lecieć? to i drugi raz przysięgnie i drugi raz zgrzeszy.

Zamyślił się góral i przyszła mu ta smutna obojętność z potrzeby, obojętność, którą rodzi obrażona duma. Splunął i nie poszedł już do karczmy, ale się zwrócił na prawo do matki.

Przenocował w domu, rano pożegnał matkę, zostawił jej zapomogę, kazał pozdrowić brata i Tereskę i zabrał się w drogę.

— A cóż z Hanką? — spytała matka.

— Bodajbym nieznał tego licha — rzekł, machnął ręką, pożegnał matkę i poszedł w drogę na długo.

Rankiem wróciła Hanka do domu. Siostra bała zapytać się o Stacha, i chciała z twarzy jej wyczytać co się stało; ale Hanka była wesołą jak zwykle.

Dziś wigilia śgo Jana — rzekła do Tereski — pójdziemy w las uwić wianki.

Przed wieczorem poszły w las. Hanka śpiewając brodziła wśród ziela i pachnących kwiatów, uwiła wianek i poszła z siostrą nad Dunajec. I Tereska niosła wianuszek, a na skromnym wianeczku było tyle marzeń dziewczyny o jej szczęściu, że jej wianuszek aż ociężał w dłoni. Rzuciły wianki na wodę i patrzały za niemi niespokojne, ciekawe. Zachodzące słońce przedzierając się przez smereki oświeciło dziewczyny i zaigrało w wodzie. Dziewczyny wytężyły oczy, by w powodzi światła dojrzeć płynące wianki.

— Twój wianek tak się kołysze i wirem kręci — rzekła Hanka.

— A twój tak strzelisto płynie naprzód — rzekła Tereska i westchnęła.

Nagle wianek Hanki zaczepił się o kamień i utonął, Tereski wianek popłynął.

— Oj źle coś wróży ci wianek — rzekła Tereska żałując siostry.

Hanka roześmiała się.

— A ktoby tam wierzył wiankowi. Utonął, to i lepiej! widać prędzej pozbędę się wianka i pójdę za mąż. Chodźmy już.

Odeszły. Hanka przez drogę śmiała się i żartowała z wróżby, ale śmiech był nieszczery i wesołość udana. Duszę Hanki niepokoiły jakieś złe przeczucia, jakieś mary natrętne. I kiedy w nocy tańczyła z dziewczętami około zapalonej sobótki była zamyślona i niespokojna.

VI.

Chciałbym razem z wami, kochane czytelniczki, zatrzymać się przy opisie tej mistycznej nocy śgo Jana, pobłąkać się w tajemniczych lasach, pleść wianki z cudownych ziół na wasze główki, zrywać o północy czarodziejski kwiat paproci, rozkochać się w woni kwiatów, w księżycowych promieniach, gwarzyć wam o boginkach, co tańczą po srebrnych zwierciadłach wód; ale mi spieszno do końca powieści, bo chciałbym abyście się co prędzej dowiedziały: czy Numa poszła za Pompiliusza. Wszak wy lubicie taki koniec w powieści? a może i nie w powieści?... Mniejsza o domysły, ja kończę powieść.

Z nadchodzącą jesienią ożyły góralskie wioski. Z gór schodziły tabory owiec, juhasy; z dolin wracali kożbiarze. Hankę niepokoiło, że wszyscy już z gór wrócili a Stacha między nimi niebyło. Pytać się nieśmiała, niechciała, żeby ją kto nieposądził, że za nim goni, że jej spieszno do żeniaczki, i czekała wyglądając go niecierpliwie i codzień było jej tęskniej za Stachem, lubo ta tęsknota nieprzeszkadzała jej śmiać się, bawić i być wesołą.

I Tereska wyglądała z upragnieniem Kuby, i modliła się gorąco, by go Bóg zdrowego przyprowadził do domu i najmilej jej było rozmawiać o nim z jego matką. Tereska bowiem nieodstępowała już na krok starej kobiety, pielęgnowała ją, pocieszała, weseliła, pracowała na nią jak córka. Starucha odżyła tą miłością dziewczyny, tem jej staraniem.

— Matusiu! coś Kuba niewraca, — mówiła raz przed wieczorem Tereska — ja się boję, czy mu się co złego nie stało.

— Wróci, wróci moje kochanie — pocieszała stara. A byłby też Pan Bóg bardzo niełaskaw na starą, żeby jej niedał doczekać tego szczęścia, kiedy będzie mogła pobłogosławić was oboje. Oj! musi cię mój Kuba bardzo szanować, bo by mu Pan Jezus niebłogosławił, żeby takiego skarbu nieszanował. I pocałowała ją w głowę.

W tem na drodze dało się słyszeć granie skrzypków i śpiew górali:

U nas chleba niema,
U nas długa zima:
Ale wody — hale...
O! witajcież hale!

Dziewczyna zerwała się z ławy — drzwi się otwarły.

— Kuba! — wrzasnęła Tereska i rzuciła mu się na piersi.

Po kilku miesiącach tułania się wśród obcych, po kilku ciężkich miesiącach nędzy, pracy i tęsknoty, to był pierwszy krzyk, co otworzył milczącą pierś górala; pojmiecie więc, co uczuł w tej chwili. Całe niebo szczęścia było w górskiej chacie.

Kiedy pierwsza chwila radości przeminęła, Kuba usiadł między matką i Tereską, i począł im opowiadać przygody swoje, potem dobył z torby wstążki, paciorki, medaliki i kładł na kolanach Tereski.

— I to wszystko dla mnie? — pytało uszczęśliwione dziewczę i łzami radości myła te podarunki ukochanego.

Kuba patrzał na nią długo, miłośnie, wydawała mu się tak piękną, a tak dobrą, że bał się dostąpić do niej, tak coś świętego biło z twarzy dziewczyny.

W sobotę wieczorem dał na zapowiedzi.

W niedzielę Tereska z bijącem sercem poszła do kościoła i klękła przed wielkim ołtarzem dziękując Bogu za powrót Kuby, za szczęście swoje.

Hanka klęczała na boku. Rzucając oczyma po kościele dojrzała Kubę — oboje spotkali się oczami, ale Kuba nieprzeląkł się więcej tych oczu, owszem dziwił się że mógł przenosić ją kiedyś nad Tereskę, tak mu zbrzydniała Hanka. W tej zmiance uczuć Kuby widne było zwycięztwo pięknej duszy Tereski, ale też i wdzięki Hanki pogasły znacznie. Ciągłe zabawy, śmiechy, pustota i hulaszcze życie zostawiły smutne ślady na twarzy dziewczyny, cera pociemniała, zbrzydła a na szklącem się czole i w śmiałych spojrzeniach było coś, co kazało brzydzić się nią.

Przez całą mszę mało kiedy spuszczała oczy z Kuby, taka pewna była swego zwycięztwa, że już układała w głowie jak go witać miała.

Wyszedł ksiądz na kazalnicę i po kazaniu przeczytał zapowiedzi Tereski i Kuby. Hanka spłonęła cała, spojrzała na Kubę i Tereskę. Oboje klęczeli zdaleka od siebie modląc się gorąco.

Hance duszno zrobiło się w kościele, wstała.... wybiegła na cmentarz. Zerwała chustkę z siebie i siadła na kamieniu. Kilka dziewcząt zbliżyło się do niej.

— Cóż, a kiedyż twoje wesele? — pytała jedna.

— Kuba się prędzej zwinął — dodała druga.

— Szczęśliwa Tereska — rzekła trzecia — której wiek pokazywał, że ona już nigdy tak szczęśliwą nie będzie.

— To jej teraz będzie jak w raju — mówiła inna— Kuba jej naprzywoził gościńców co niemiara, a i grosza też pono przyniósł nie mało.

Hankę gryzły te rozmowy.

— O wa! wielkie mi ta szczęście! takich jak Kuba lada gdzie na drodze najdzie. Ani się umył do mojego Stacha. Niech jeno wróci, a zatańczycie na mojem weselisku,

— Ale! czekaj ta na Stacha, to się doczekasz — rzekł drwiąco jeden z juhasów.

— Abo co? — spytała niespokojna Hanka i złe przeczucie ścisnęło jej piersi.

— Ano nic, jeno że Stach na węgierskiej stronie został gajowym i ożenił się.

Ciekawy tłum otoczył górala.

— A wy to zkąd wiecie? — pytała ciekawa kuma.

— Toć wczoraj wrócił mój stryjek z tamtąd z winem i przywiózł pisanie do matki.

Hanka słuchała tego wszystkiego nieprzytomna, osłupiała. Ludzie poczęli szeptać między sobą i uśmiechać się i dogadywać. To zwykła rzecz na świecie, że ludzie lubią urągać z nieszczęścia. A urągają różnie: jedni śmiechem, drudzy politowaniem, inni obojętnością. Czemu? może każdy spodziewa się, że szczęście, co odbiegło jednego, w jego ramiona wpadnie.

Hanka zatkała rękoma uszy i uciekała precz do domu. Tam cała szalona burza rozpaczy wybuchła łzami, śmiechem, przekleństwem, krzykiem. To chciała się topić, to chatę podpalić, to iść zabić zwodnika; aż wreszcie znużenie uspiło ją, i sen dał jej zapomnienie boleści.

Następnych kilka dni przesiedziała w domu lamentując; ale z każdym dniem smutek jej i boleść spokoiły się i na weselu siostry już była taką jak zwykle. Pustowała, śmiała się, zaczepiała chłopców słówkami i oczami; ale ludziom wstrętna już była ta pustota dziewczyny.

Potem cała wieś inaczej ją nienazywała: pusta Hanka, i wytykali ją palcami, i dziewki od niej stroniły. To ją gniewało i jednego dnia znikła ze wsi.

Tylko proszę niech wam to zniknienie romantycznych myśli nierozigra; uprzedzam was, że nie utonęła, ani hrabiną niezostała.

KONIEC.

M. Bałucki.

POLKI LITERATKI.

(Zobacz *Niewiasta* r. 1860 Nr 7 i 8, i r. 1861 Nr 1, 2, i 4; r. 1862 Nr 2, 3 i 4).

Opowiadając o poetkach, zwróciłem uwagę na dar poetyczny *Gabryeli z Günterów księżny Puzyniny*. — W zbiorze *Pism wierszem i prozą* 1856. zamieściła chwaloną powieść *Marylka*. Pisała drobne udatne powiastki: *Syn oberżysty. Zielona sukienka*. Wydała: *Dzieci litewskie, ich słówka, odpowiedzi* i t. d. Lipsk 1847 i Wilno 1856. *Małe a prawdziwe opowiadania*. Wilno 1857. — Jest w swoim żywiole, gdy pisze dla dzieci.—Proza jej nie wyrobiona, styl nie wyróżniający się oryginalnością, kobieca uczuciowość i miękkość całą jego charakterystyką. — Wolę jej poezyą niż powieści prozą — mimo to, nie zbywa im na zaletach prostoty i serdeczności.

Pruszakowa Seweryna z Żochowskich, o której talencie opowiada *J. Gregorowicz* w *Noworoczniku illustrowanym dla Polek* na r. 1862 (Warsz.), wystąpiła z dziełem: *Powieści naszych czasów*, tomów 4. Warszawa 1853. *Gawędy i powieści*, Warsz. 1854. t. 2. mieszczą: Nie mów hop aż przeskoczysz. Podróż rzemiennym dyszlem. Burka poety. Zaduszki. Jak to dawniej bywało. — Powieści te jak i powieść: *Ojciec Salezy* (w *Album liter.* 1849.) i *Dwie Niewiasty* (w *Album liter.* 1849) nie były bynajmniej zapowiedzią niezwyczajnego talentu poetycznego. — *Powieści* jej roztrząsnął i potępił *Aleks. Tyszyński* w Bibl. Warsz. 1853, wyszydzała je *Gazeta Warsz.* 1853. — Pruszakowa zwróciła się później od powieści do szkiców biograficznych, do dramatu i powiastek dla młodzieży — o czem później — zwrot był szczęśliwy, a zasługa niepoślednia. W r. 1859 wydała przekład powieści *Cumminga*: Latarnik z Bostonu.

Rzeczywisty powieściarski talent okazuje panna *Józefa Śmigielska*, zasłużona wydawczyni dzieł dla młodzieży. — Najpierwej pisywała do *Ateneum*. W r. 1854 wydała powieść: *Sukcesye i praca* t. 2. (Petersburg). *Nie zawsze ten zbiera kto sieje*. Warsz. 1858. — Wygotowała też w r. 1854-5 powieści: *Wychowanka doktora* (t. 3). *Według stawu grobla* (t. 2), obiedwie nie drukowane. *Śmigielska* od razu zwróciła uwagę na siebie. Styl wyrobiony, dykcya żywa i naturalna, wysłowienie silne, są zaletami opowiadania. — Charaktery maluje dosadnie, — w całem oddaniu opowieści mniej uczuciowości i poezyi, które zazwyczaj są cechą pióra niewieściego. Krytyk *Marcinkowski* (w Gaz. Warsz. 1854 Nr 74—76) i *Zapolski* (w Dzienn. Warsz. 1854 Nr 73), wychwalają powieść: *Sukcesye i praca*.

Jedną z najpracowitszych autorek była *Malecka Wanda z Frizów*, którą odróżnić należy od generałowej *Maletskiej Karoliny z hr. Krasińskich* z Niemierzyniec, autorki małoznaczącej powieści: *Rzeczywistość*. T. 3. Warszawa 1843 r. *Malecka Wanda z Frizów* redaktorka *Wandy, Bronisławy, Kolumba, Muzeum Domowego, Biblioteki Romansów* od r. 1820 do 1826 i po części *Gabinetu powieści* wydawanego przez Dmóchowskiego, urodzona r. 1800, a zmarła w nędzy r. 1860, zatrudniała się głównie tłómaczeniami, zasilając wszystkie niemal czasopisma do r. 1840. — Gdy Dmóchowski Fran. Sal. założył fabrykę tłumaczeń *Waltera Skotta*, była Malecka pierwszym jego czeladnikiem, *Dmóchowski* robił majątek wydając jej przekłady pod swojem nazwiskiem, Z licznych jej przekładów wymieniamy: *Dash*: Ekran. powieść, Warsz. 1846. — *Kock*: Zawsze ten człowiek, Warsz. 1844. Co za powabny młodzieniec, Warsz. 1842. *Jacob*: Pojedynek bez świadków, Warsz. 1845.— *Skott Walter*: Pan dwóchset wysp, Warsz. 1826. Matylda Roqueby: Warsz. 1828, i prawie wszystkie romanse *Skotta* pod firmą Dmóchowskiego. — *Souvestre*: Człowiek i pieniądze. Warsz. 1845. *Byron*, powieści. Warsz. 1831. *Krüdener* baronowa: Walerya, Warsz. 1822. *Campan*: Rady dla dziewcząt. Warszawa 1827. *Chateaubriand*: Wspomnienia Włoch, Anglii i Ameryki. Warsz. 1828. *Moore*: Lalla-Rugh. Warszawa 1826. *Maurycy Robert*, Warsz. 1845. *Artur*, Warsz. 1846. *Mazeppa*, hetman Kozaków. *Amelia Mansfield* przez panią *Cottin*. — Tłumaczyła bez wyboru i bez gustu, potrzeba zmuszała ją do tego — przekłady popłacały za jej czasów, z przekładów miała jedynie utrzymanie, więc tłumaczyła to, co jej dano do przekładu. Więcej zasługi położyła jako autorka dla dzieci i jako redaktorka.

Kraków Paulina z Radziejowskich wstępuje w ślady Hoffmanowej, i jako autorka dla dzieci przodkuje rówiennicom swoim. Prawdziwa słodycz charakteru przebija w jej utworach, ozdabia malowniczość a nawet barwa poetyczna w opisach. Słabszą stroną są rozumowania i poglądy. Wydała: *Obrazy Warszawy*, 1847. *Pamiętniki sieroty*, Warsz. 1839, wyd. 2gie 1844. *Obrazy i obrazki Warszawy*, Warsz. 1848. *Powieści starego wędrowca*, Warsz. 1839. *Wspomnienia wygnanki*, Warsz. 1845. Wyd. 2gie 1848. Powieści jej miały powodzenie, dowodem szybka ich sprzedaż. Dzieła pedagogiczne dla młodzieży większą jeszcze mają wartość od jej powieści.

Korespondencya od Redakcyi.

Do W. Księdza H.. w Ł... Cieszy nas nie mało, że tak zacny kapłan poczytuje nasze pismo za zdrowe; niemniej cieszy nas, że żąda abyśmy nie zapominali o zacnych Niewiastach Ruskich. O Rusinkach tak samo w piśmie naszem nie będziem mogli zapomnieć jak o Rusi, gdyż Zacne Rusinki poczytujemy z tego samego powodu za rodzone nasze siostrzyce, z którego piękną i niegdyś miodem płynącą Ruś poczytujemy za integralną a nawet za organiczną część naszej Ojczyzny.

— Do Zacnej Pani z Ur.... Kr... w Wołakówcach. O wzory strojów narodowych możemy się wystarać i radzibyśmy przysługiwali się niemi bezpłatnie Zacnym naszym Prenumerantkom, gdyby raczyły postarać się o zwiększenie Swojej liczby, a co przy dobrych chęciach i użyciu Swoich wpływów na przyjazne Im Osoby wcale nietrudnem by było. Zacna Pani mówisz o strojach polskich, zastósowanych do każdej pory roku a mówisz Pani o strojach skromnych. Wzory takich dostarczalibyśmy tedy cztery razy do roku, bo tyle pór tegoż mamy. Raczcie się zacne Panie porozumiewać między sobą, postarajcie się o zwiększenie liczby Prenumerantek, a najmilej będzie nam usłuchać szlachetnego rozkazu.

Sprostowanie: Nr 4, str. 31, szp. 1, wiersz 8, zam.: leżajska czytaj: leżyska.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.